№ 51. Warszawa, dnia 10 (22) Grudnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy 1889-ego roku. Pod ryciną tytułową w każdym numerze znajdują się warunki prenumeraty.

Na **Przyjaciela Dzieci** *prenumerata wynosi:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści” oraz „Przyjaciela Dzieci”, w Warszawie ulica Chmielna Nr 26.

JESZCZE W SPRAWIE KOBIECEJ.

(SŁÓWKO ODPOWIEDZI).

W Nrze 46 „Tygodnika Mód” pomieszczony został artykuł: „W sprawie kobiecej”, którego naiwność i dobra wola zarazem, tak zabawne tworzą połączenie, iż wśród kółek, żywo kwestyą tą zainteresowanych, musiał on pewne wywołać... zdziwienie. Ponieważ w rzeczach ogół obchodzących, nietylko literaci mają prawo głosu, mam nadzieję więc, że szanowna Redakcya pozwoli mi tu uwag parę wypowiedzieć.

Autor artykułu niepodpisanego, ubolewając nad zwodnym zapałem prasy, mówi między innemi:

„Kreślono artykuły i rozprawy, wygłaszano odczyty, pisano księgi całe; entuzyastki zaś, szumem tym odurzone, biegły głównego szermierza sprawy, zasłużonym wieńczyć laurem. Był to jednak płomień... słomiany.

Dziesięć lat zaledwo upłynęło odtąd, a dziś, któż mówi o sprawie kobiecej? Czy istnieje organ, na łamach którego spotykalibyśmy rozumnie i konsekwentnie przeprowadzoną myśl emancypacyi; rubrykę, poświęconą idei, która bądź co bądź, zrównawszy nas z zachodem, kobiecie polskiej, wytrwałej i sumiennej, otworzyła po raz pierwszy pole do pozadomowej pracy, a społeczeństwu tak ubogiemu ekonomicznie, nowych sił przysporzyła?”

„Bynajmniej”. Odpowiada sobie sam szanowny autor, który przedewszystkiem zapomniał widać, że przemawia ze szpalt pisma kobiecego właśnie. Więc to, panowie, wina może nas, pracownic, żeście nie umieli skorzystać z iskry zapalonej w sercu tysiącach, by ująwszy ster ich, stać się rzeczywistym organem dążeń naszych, celów i ideałów, echem potrzeb, ogniskiem, zespalającem szeregi tych co niezrażone niepowodzeniem, o niepodległość swą walczyć nie przestały? Więc to nasza wina, że pozbawieni daru inicyatywy, wy, coście powinni trzymać palec na pulsie narodu, zamiast odgadywać przebiegające go prądy, wolicie utartych trzymać się szlaków? Że zapatrzeni w dawne powodzenie „Tygodnika Illustrowanego”, wyprowadzacie teraz rok rocznie na widownię przeróżne *facsimilia*, pod zmienionym tylko tytułem; że tygodników literackich, przezuwających tę samą wciąż strawę, mamy więcej prawie niż czytających, a założenie pisma strzegącego interesów niewieścich, żadnemu z was na myśl nigdy nie przyszło? Naszaż to wina, iż obok całego szeregu kuryerów brukowych, wydzierających sobie plotki miejskie, obok dwóch organów poświęconych modom, nie powstał żaden, oddany sprawie rozumnej emancypacyi?

Prawnicy, doktorzy, aptekarze, psy, konie, sport, loterye, opieka nad zwierzętami nawet, jednem

słowem wszystko posiada specyalne swe pisma, dla kwestyi tylko najważniejszej, bo dotyczącej połowy społeczeństwa, zabrakło organu takiego u nas.

Zarzuci kto może, że istniał „Świt", któregośmy podtrzymać nie umiały? Byłby to zarzut niesłuszny.

W „Świcie" bowiem część literacka odznaczała się chaosem pojęć, niewzbudzającym wogóle zaufania.

Przez lat więc dwadzieścia, ani zapał dla idei i poczucie potrzeb ogółu, ani spekulacya wydawnicza, nie potrafiły skorzystać z prądu, wytwarzając pismo, któreby się stało wskazówką i przewodnikiem zastępów do pracy dążących. Autor pomienionego artykułu, z dobrą wolą i... pewną naiwnością, jak już zaznaczyliśmy, sam to przyznaje; sam składa świadectwo ubóstwa prasy.

Lecz jakże się zachowuje równocześnie wobec projektu takiego pisma, wyszłego z kół interesowanych? Oto głaszcząc nas delikatnie, mówi z łaskawością:

„Dalej, żwawo do dzieła..."

Innemi słowy, brzmi to, jakby z Jowiszowych wyżyn:

— No, nie krępujcie się dziateczki; sprobujcie waszych sił, ja zdala chętnie na te gimnastyczne sztuki popatrzę.

Doprawdy, ileż łaski! Braknie tylko jeszcze, aby na dowód swego olimpijskiego uznania, raczył którą z inicyatorek pisma, poświęconego sprawom niewieścim, poklepać dobrotliwie po ramieniu.

Sądzę, panowie, że mylna to droga. Należało albo przyznawać się do winy zaniedbania spraw naszych, lub też dziś trzeba złe naprawić, poważniej rzecz całą traktując. Kwestyonaryusz pani Jasieńskiej, zamierza na mocy otrzymanych odpowiedzi, przedstawić ekonomiczne położenie kobiety, dać obraz dotychczasowej działalności jej u nas, oraz wskazać pracownicom drogę do społecznych obowiązków, odpowiednich osobistem ich siłom i uzdolnieniom. Cel to szlachetny, lecz zakres za obszerny, aby pojedyńcze, nieoznajmione z tego rodzaju pracą umysły, podołać mu mogły, tem więcej, iż kwestyonaryusz zbyt jest rozległy a w niektórych punktach niejasnością grzeszy.

Zamiast więc łaskawego pozwolenia: dalej dziateczki, żwawo do dzieła, sądzę, iż należało podnieść główniejsze pytania z kwestyonaryusza, objaśnić licznem czytelniczkom „Tygodnika" cel ich, oraz sposób dawania odpowiedzi, jednem słowem rozwinąć kwestyę i postawić ją na wysokości, jaką w piśmie kobiecem zająć powinna; postarać się o to, aby przeniknąwszy wszystkie warstwy, rzecz ta, rzeczywisty przyniosła pożytek. Wtenczas autor, nie poprzestając na ładnie toczonych frazesach, mógłby być pewnym, iż w miarę możności do wyjaśnienia się sprawy przyczynił.

Jedna z pracownic.

Uwagi powyższe, z pod młodego snać i gorącego wyszłe pióra, w imię bezstronności, chętnie pomieszczamy. Przyznając szanownej autorce w części słuszność, zdziwieni tylko jesteśmy, iż wywołane one zostały krótkim artykułem naszym, z którym w zasadzie, zupełnie się zgadzają. Nie chcemy robić krzywdy autorce, posądzając ją o chęć emancypacyi krańcowej, tej emancypacyi opartej na pozorach męzkości i ekscentrycznych wybrykach, a nie szczerem dążeniu do postępu i wiedzy. Sam podpis: *Jedna z pracownic*, broni ją od podobnego podejrzenia. W takim razie jednak, czy nie zawiele tu słów o rzecz chybioną w zasadzie? Prawda, iż szeregi młodych, wywalczających sobie stanowisko kobiet, nie mają u nas osobnego organu, alež ani „Tygodnik Mód" ani inne tego pokroju pisma, nie przestały notować skrzętnie każdego objawu, każdej niewieścią dłonią zdobytej pozycyi. Zmieniać programu pisma nie mieliśmy zasady, bo obok garści pracownic młodych, istnieją szeregi całe tych, które od nas wymagają rozrywki, posiłku duchowego, wskazówki praktycznej, a nie... brzmiących elukubracyi.

Wszak my sami zapowiedź pisma zbiorowego, chociażby poświęconego sprawie kobiecej, powitaliśmy życzliwie?

Wobec tego, czy słusznie zarzuca nam *Jedna z pracownic*, żeśmy szczegółowo kwestyonaryusza nie rozebrali? Czerpiąc wiadomość o nim z drugiej ręki i podając ją w formie tak życzliwej, złożyliśmy chyba, aż nadto wyraźny akt dobrej woli. Zamykając też łamy „Tygodnika" dla dalszych pod tym względem rozpraw, nie możemy się od jednej powstrzymać uwagi. Oto, czy autorka, zamiast rozszerzać się nad naszym czysto informacyjnym artykułem, nie lepiej byłaby zużyła swój zapał, poświęciwszy go racyonalnemu wypełnieniu omawianego tu kwestyonaryusza? Słowa bowiem nie zastąpią czynu. Zamiast więc według polskiego zwyczaju słać protesty, należało poprostu, wskazać lub poprawić błędy broszurki.

Redakcya.

Zwiędłe liście.

Jesień mi opiewać każe
Swoje smutki i ubóstwo.
Zwiędłe liście? jest ich mnóstwo
Na całym świata obszarze!
Na wyżynie skoro stanę,
Widzę ogród, widzę pole,
Ludzkie serca, ludzkie dole,
Całkiem niemi zasypane!

Snów młodzieńczych wzniosłe loty,
Przeszyte szyderstwa strzałą,
Którym dano przędzy złotej
Zawiele, czy też zamało:
Chęć co się nie ozwie w czynie,
Marzenie, co się nie ziści,
Zapał, który z chwilą minie,
Ah! ileż tu zwiędłych liści!

Połamane skrzydła wiary,
O cinizmu skałę twardą:
Bezcelowe swe ofiary,
Które tłum obrzucił wzgardą:
Podeptane ideały
Dla fantazyi, dla korzyści,
Skargi co się w mgle rozwiały,
Ah! ileż tu zwiędłych liści!

Tamte chłodny wiatr rozdmucha
Po szerokim Bożym świecie:
Potem śnieżna zawierucha,
Białą tarczą je przygniecie,

I kiedy porę zimową
W martwym spoczynku przeleżą,
Z wiosną odżyją na nowo,
Młodym pączkiem, trawką świeżą.

Lecz z temi co niespodzianie,
Ludzkich serc widnokrąg cały,
Grubą warstwą przysypały,
Co się stanie? Co się stanie?

Emilia.

OCIEMNIAŁA.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ LEKARZA

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski.

(Dalszy ciąg.)

Uspokój się pani — prosiłem, pochylony nad postacią, nerwowem wstrząsaną łkaniem. — Uspokój się i wierzaj mi, jako starszemu, doświadczonemu człowiekowi, że cięższe od twojej istnieją niedole. Powodu do rozpaczy nie widzę tu jeszcze...

— Jakto, zakosztowawszy życia zaledwo, być wtrąconą w wieczną ciemnicę, skazaną na całe lata bezczynności, stać się zamiast pomocą i osłodą, kulą u nogi tych, którym nieba przychylićbym chciała, to według ciebie, doktorze, nie jest niedola? Oh, ależ ja bym nad nią śmierć stokroć wolała!

— Po cóż pani rzecz z tak czarnej bierzesz strony? Nie przeczę bynajmniej, że wypadek jest groźnym, o ile mnie jednak wiedza moja nie myli, sądzę, iż szczęśliwie dokonana operacya, wzrok pani na zawsze przywróci.

Porwała się żywo.

— Więc znajdujesz pan, że operacya jest możliwą?

— Tak sądzę. Mamy tu znakomitego okulistę, który lat kilka praktykował przy słynnym Gałęzowskim w Paryżu. Obiecałem Władysławowi sprowadzić go jutro; zobaczymy więc o ile uczony specyalista zdanie me potwierdzi. Uprzedzam panią jednak, że operacya jako ryzykowna, będzie wymagała ze strony jej spokoju i odwagi. Nieudana, uniemożliwi dalsze usiłowania; udana przywróci pani wzrok na zawsze.

— Oh, odważę się na wszystko! Zobaczyć znów świat, słońce, Władysława, dzieci moje, cóż to za szczęście. Zdaje mi się, iż odtąd podwójnie drożdzy mi będą, że pojąwszy teraz dopiero urok życia, zacznę ze zdwojoną używać go rozkoszą.

I uniesiona radością, wstrząśnięta reakcyą, jaką przynosi przeskok od gnębiącej rozpaczy do promiennej nadziei, rękę moją ruchem nagłym do ust poniosła.

Ten akt dziecięcej wdzięczności i podzięki, ze strony kobiety dorosłej, matki dwojga dzieci, wzruszył mnie do głębi.

— Pan nie wiesz — mówiła poufnie — nie możesz zrozumieć, dlaczego utrata wzroku tak straszną przejmuje mnie rozpaczą. Byłam, widzisz,

przez długie lata sierotą, sierotą bogatą, ale niemniej opuszczoną, pozbawioną wszelkich węzłów serdecznych; nie znałam ciepła rodzinnego, nie wiedziałam czem jest szczęście, czem swoboda. Poszedłszy za Władzia pełną dopiero zaczęłam żyć piersią. On i moje dzieci, to dla mnie świat cały; krew z żył własnych dałabym sobie wytoczyć dla nich. To też myśl, że ich nie ujrzę więcej, że odtąd nie opieką i radością, a niedolą ich będę, o pomieszanie zmysłów mnie przyprawiała.

Na progu stanął w tej chwili Łącki.

Młoda kobieta przeczuwszy go, czy dojrzawszy resztą zamdlonego wzroku, zerwała się z wyciągniętemi ramionami.

— Władziu! — zawołała radośnie — Władziu, pan mówi, że ja odzyskam wzrok! Patrz, żona twoja nie zostanie ociemniałą kaleką, Bóg miłosierny odwróci ślepotę i jasne dni ześle nam jeszcze.

Niepomna, że odwołuje się do Boga, któremu bluźniła przed chwilą, zarzuciła ręce na szyję męża, tuląc się do niego pieszczotliwie.

Był to pierwszy objaw serdecznego uczucia, łączący ich, jak mi to później powiedziała, po kilku tygodniach chłodu i przymusu. Wrażliwa niby prawdziwa mimoza, żona przyjaciela mego, wyobraziwszy sobie, iż nagłe kalectwo jej, wstrętem musi przejmować otaczających, odsuwała się od nich, w sobie zamykając żal cały, co boleść nurtującą, podwyższać jeszcze musiało. Opromieniona napowrót radością i szczęściem, przytulona do piersi Władysława, z opuszczonemi ciemnemi rzęsami i masą jasnych splotów opadających na ramiona, delikatna, przejrzysta nieledwie wydała mi się eterycznie piękną. Nie dziwiłem się teraz, iż cała istota jej buntowała się przeciw strasznemu wyrokowi losów, że siły własnej i uroku świadoma, garnęła się do życia i szczęścia.

Natura młodej kobiety, pełna uczucia i tkliwości, zakosztowawszy światła zaledwo, słońca pragnęła, do słońca się rwała, a w zamian grób wiecznej ciemnoty otwierał się przed nią.

Zarówno też współczucie dla uroczej tej a nieszczęśliwej istoty, jak przyjaźń dla Władysława, przyjaźń, która dziś z całą znów odżyła siłą, kazały mi wszelkich dołożyć starań ku zażegnaniu czarnego widma, jakie zawisło nad nimi. Najlepsi nasi lekarze, koledzy, budzący we mnie największe zaufanie, zgromadzili się w parę dni później dokoła pani Łąckiej. Zdanie ich potwierdziło moje uwagi; operacyę uznano za konieczną i możliwą, nieukrywając wszakże, iż może się ona okazać nader ryzykowną.

Chora nie zawahała się nawet, nadzieja odzyskania wzroku dodała jej odwagi, każąc przyszłość na jedną stawiać kartę. Zresztą, dowodziła, iż woli poddać się operacyi tu, w kraju, niż przedsiębrać podróż zagranicę, która w danych warunkach, istną męczarnią stałaby się dla niej. W Warszawie miała przynajmniej przy sobie męża, dzieci, świat, który ją potrafi natchnąć otuchą; na obczyźnie, oddalona od syna i córki podwójnie czułaby się nieszczęśliwą.

Operacya więc zadecydowaną została. Kolega mój, słynny okulista X. nie chciał jednak przystąpić do niej zaraz, żądając by organizm chorej, zdenerwowany, zminowany wzruszeniem i rozpaczą, wzmocnił się, uspokoił i nabrał sił, przed tą próbą stanowczą a ostateczną.

Pani Łącka więc, pod moją wpierw przychodziła opiekę, a trzeba przyznać, iż nie zawsze bogi, tak miłe lekarzom zsyłają pacyentki. Codzienny stosunek doktora do chorej, wzmocniony jeszcze węzłami przyjaźni, jaka mnie łączyła z jej mężem, zbliżył nas o tyle, iż po dwóch tygodniach kochałem panią Jadwigę, jak własną moją siostrę.

Oczarowany pięknością jej, podbity słodyczą, ja, stary kawaler i zagorzały przeciwnik ożenienia, pojąłem, iż poznawszy bliżej równie szlachetną istotę, można z ufnością przyszłość w ręce jej złożyć; zrozumiałem rozpacz nurtującą Władysława, a tak wyraźnie odzwierciadlaną w jego rysach, ile razy patrzył na szafirowe źrenice żony, wieczną pokryte ciemnością.

Kuracya postępowała pomyślnie, a wraz z nią i spokój zdawał się wracać do duszy młodej kobiety. Pozbawiona troski gryzącej, wierząca w ocalenie, odżyła na nowo, roztaczając przed nami skarby myśli i uczucia. Odkąd też obawa ślepoty, jak miecz Damoklesa zawieszona nad jej głową, usuniętą została, odkąd nie patrzyła w grób otwarty ciągle przed jej oczami, dawna słodycz i pogoda przywróciły jej urok, któremu trudno się było oprzeć. A jednak z tem pragnieniem życia wydawała mi się nieraz dziwnie samolubną. Przeczuła to snać, czy poznała z dźwięku głosu, pochwyciwszy raz bowiem rękę moją, wyszeptała gorąco:

— Doktorze, pan myślisz, że to egoizm każe mi tak tęsknić do światła i uzdrowienia? O nie, mnie o nich chodzi tylko; ja nie chcę by żona i matka stała im się ciężarem, by ociemniała kaleka życie im zatruła. Pomyśl, córka moja liczy zaledwo cztery lata, mamże więc nigdy jej nie zobaczyć, nie pokierować wychowaniem jej, losem, przyszłością? Jakżeż spełnię obowiązki moje, jak mogę pozwolić, by mając matkę, była w życiu gorzej niż sierotą?

I ukrywszy twarz w dłonie, załkała żałośnie.

— Dajcie mi światła, światła... lub trucizny — błagała, podnosząc jasne, jak szafir niebios, piękne a jednak ociemniałe oczy. — Jeżeli mam być bezużyteczną zawadą, niech lepiej kto inny miejsce me zastąpi.

Czułem iż myśl ta opanowała ją do tego stopnia, że w razie nieudania operacyi, gotowaby targnąć się na własne życie. Był to zresztą wybuch chwilowy, odsłaniający mi przelotnie głębie jej duszy; wobec męża pogodna i uśmiechnięta, zdawała się ze spokojem i rezygnacyą oczekiwać chwili stanowczej.

Gdy dzień ów nadszedł wreszcie, młoda kobieta hartem swym i odwagą wprawiła w zdumienie zarówno mnie, jak moich kolegów. Blada nieco, powitała nas spokojnym uśmiechem, na uprzejme zaś i starające się dodać jej otuchy słowa słynnego okulisty, odparła z powagą:

— Dziękuję panu, wzmacniasz bowiem wiarę moją w pomyślny skutek operacyi. Kto ma takich jak wy przyjaciół, ten z ufnością najcięższej próbie poddać się może.

Poczem wyciągnąwszy rękę do męża, dodała z tkliwym uśmiechem:

— Bądź dobrej myśli, Władziu i idź do naszych dzieci.

— Nie, nie! Nie żądaj tego ode mnie.

— A zatem zostań w przyległym pokoju, wkrótce będziemy znów razem.

I ruchem pełnym pokory, jakby błagając o przebaczenie, rękę jego do ust podniosła.

W bladych oczach Łąckiego łzy zabłysły. Należało go wyprawić, by chorej spokoju nie zakłócał.

Równowaga moralna nie opuściła ją jednak ani na chwilę. Z obawy by drgnięciem mimowolnem nie narazić się na niebezpieczeństwo utraty oka, sama prosiła o zachloroformowanie, co zresztą i bez jej woli dokonać zamierzaliśmy. Na szczęście straszna chwila minęła pomyślnie. Kolega mój wywiązał się z zadania z mistrzostwem, jakiego oddawna niespotkałem. Chora z obandażowanemi oczami, umieszczoną została w ciemnym pokoju, a wzrok jej za uratowany można było uważać.

Zawiadomiony o pomyślnym rezultacie operacyi Łącki rzucił się na szyję słynnego okulisty, poczem uścisnąwszy i mnie z taką furyą, iż zaczynałem lękać się o całość mych kości, chciał natychmiast biedz do żony.

— Uspokój się wpierw — zawołałem, chwytając go za ramię. — Zbyt silne wstrząśnienie mogłoby zniweczyć całe nasze dzieło, cały gmach nadziei, kto wie, zabić ją może. Dziś należy ją bronić od najmniejszego wzruszenia.

Pojął mię i siłą woli zapanował nad sobą, w chwilę zaś później klęczał już u wezgłowia chorej.

— Jadwiniu — wyszeptał, ujmując dłonie jej na błękitną kołdrę spuszczone — Jadwiniu, jesteś ocalona.

Uśmiechnęła się anielsko.

— Wiem o tem, wiem — wyszeptała. — Jaki Bóg wielki, że mi chwili tej dożyć pozwolił. Władziu ukochany, każdy dzień, w którym was jeszcze widzieć nie mogę, wiekiem będzie mi się wydawał teraz.

— W tem większą potrzebujesz się pani uzbroić cierpliwość — przerwałem. — Uprzedzam bowiem, iż jedna nieostrożność, jeden przedwczesny promień światła lub naruszenie bandaży, a wieczna tą razą groziłaby ci ślepota. Ciemność, spokój zupełny i umiejętne obandażowanie oka, oto jedyne warunki, od których wyzdrowienie twe zawisło dzisiaj.

— Będę ślepo posłuszną i spełnię wszystko co każecie — odparła.

Umiała słowa dotrzymać. W nagrodę za wzorową tę powolność, przychodząc odwiedzić ją, pozwalałem przyprowadzać dzieci, które jakkolwiek rażone panującą tu ciemnością i ciszą, świeżemi głosikami rozweselały jej długie godziny leżenia. Działo się to jednak w mojej obecności tylko, lękałem się bowiem, by żywe jak iskra, nie poruszyły czasem wśród pieszczot bandaży, pokrywających oczy matki. Ztąd też zapewne pani Jadwiga wizyt mych przyuczyła się oczekiwać z wielkiem utęsknieniem i upragnieniem.

Niestety, miały się one wkrótce stać nader częstemi.

(*Dokończenie nastąpi.*)

TEATR.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Firma Müller i Spółka, komedya w 1 akcie, napisał hr. Koziebrodzki.

W pewnym wioskowym dworku, żyje sobie pan Szawiła z żoną, córką i siostrzenicą. Wyjąwszy kłopotów finansowych papy, troski o wy-

daniu zamąż jedynaczki mamy, fumów jednej a zajęć gospodarskich drugiej z panienek, wszystko wśród oddalonej od miejskiego gwaru siedziby, idzie cicho, spokojnie, jednostajnym unormowanym do codziennych potrzeb życia torem. I byłaby może ta egzystencya zaściankowego istnienia płynęła dalej w podobny sposób, gdyby list cioci Zosi nie kazał domniemywać się przybycia zupełnie niespodziewanego gościa. Jest nim niejaki hr. Cezary wielki oryginał, który zamiast wprost zajechać w konkury do panny, zwykł przybierać różne postacie, ażeby dokładniej poznać przyszłą swą rodzinę.

Dziwić się zatem nie można, że kiedy zajechał przed dworek, skromny komisant domu Müller i Spółka, biorą go za owego ekscentryka, tymbardziej, że nowo przybyły posiada dobre maniery, świetne wychowanie i wszelkie cechy odznaczające wielkiego pana.

Następuje wyjaśnienie i zarazem odczarowanie. Oburzony ojciec panny za to, że tak łatwo uwierzył pozorom, byłby może nieszczęśliwego reprezentanta interesów win francuzkich i węgierskich za drzwi wyrzucił, gdyby nie nagłe wejście zajętej dotąd przy gospodarstwie siostrzenicy pana Szawiły, nadobnej Tereni.

Pokazało się, że to jest potomek zacnego szlacheckiego rodu, który dawniej przehulał swe mienie, lecz poznawszy u wód w Szczawnicy nadobną panienkę, całem sercem ją ukochał, a owo błogie uczucie poprawiło go i popchnęło na drogę uczciwej pracy. Zakochani padają do nóg stryjowstwu prosząc o błogosławieństwo. Kto wie czyliby pan Szawiła, mający cokolwiek uprzedzenia do stanu kupieckiego, zezwolił na ten związek, ale co siostrzenica to nie córka, przytem młodzieniec i gładki i sympatyczny, a co najważniejsze z dobrego pochodzący gniazda, więc też i małżeństwo młodej pary przychodzi do skutku.

O hrabiu Cezarym dowiadujemy się z końca niedoczytanego w pierwszej scenie listu cioci Zosi, że to jest człeczyna mały, brzydki, trochę rudy, trochę zezowaty, który nieznalazłszy czego szukał, pojechał gdzieś daleko aż pod włoskie niebo, używać miłego *dolce far niente.* Tym sposobem panna Eugenia córka państwa Szawiłów nie doznawszy zawodu, może śmiało asystować przy małżeństwie kuzynki, żywiąc nadzieję, że i ona z czasem zwykłą losów koleją, stanie na ślubnym kobiercu.

Jak widzimy treść jednoaktówki hr. Koziebrodzkiego nie odznacza się ani nowością pomysłu, ani też skomplikowaną intrygą, jest to raczej obrazek z codziennych spraw życia wyjęty, w którym niedostateczne rozwinięcie akcyi nagrodzonem zostaje poczciwym swojskim humorem i ową werwą jakiej autor niejednokrotne dawał dowody. Szkoda tylko, iż rozwlekłość dwóch czy trzech scen, wpływa ujemnie na całość sztuki.

Komedya graną była przez wszystkich wykonawców koncertowo; pan Ostrowski zaś z widzianej tyle już razy na deskach teatralnych postaci starego zaściankowego szlachcica, utworzył zupełnie nowy typ.

Co do rozdania ról pozwolimy sobie zrobić jedną małą uwagę: jakkolwiek charaktery młodziutkiej Tereni i pełnoletniej Eugenii oddane zostały wybornie przez pannę Czaki i pannę Trapszankę, wzgląd na illuzyą sceniczną wymagałby naszem zdaniem, zamiany ról pomiędzy obiema sympatycznemi artystkami.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Klemens odszedł od kominka na którym wsparł się przed chwilą i zbliżywszy się do młodej kobiety rzekł chłodno:

— Usiłowania pani na nic się nie zdadzą, zalotność do której się zmuszasz względem mnie, jest dla ciebie wstrętną a dla mnie po nad wszelki wyraz przykrą. Chcesz abym cię pogodził z mężem, widzę to jasno, lecz powiem pani otwarcie, że sposób w jaki się do tego wzięłaś przynosi ujmę mnie i tobie.

Helena zawstydziła się niezmiernie a serce jej ścisnęło się boleśnie. Nie przypuszczała, że Thauziat tak łatwo odgadnie jej zamiary. Rachując na namiętność uwielbiającego ją człowieka, upoważniała go zarazem do okazywania jej uczucia. Zmieszana westchnęła i cichym szepnęła głosem:

— Ah! mój Boże! czegóż mogę się spodziewać teraz?

— Abym powiedział ci prawdę, choćby ona była najokropniejszą... O! zostań pani! — zawołał widząc, że Helena wstaje przerażona. — Przed chwilą prosiłaś, abym wyjawił ci prawdę, a teraz lękasz się ją usłyszeć?

Helena dumnie podniosła głowę.

— Nie — odparła. — Mów pan, słucham cię uważnie.

— Kto pani powiedział, że znajdziesz męża u mnie?

— Odebrałam dziś list bezimienny. W liście tym była następująca wzmianka: „Mąż twój ma wyjechać jutro, z kim, łatwo się możesz domyśléć."

— O tej samej godzinie jakiej pani dawano tę radę, ja otrzymałem list zachęcający mnie, abym nie wychodził z domu.

— Czyżby to były zastawione sidła? — spytała Helena, spoglądając niedowierzająco na Klemensa.

— A naturalnie, sidła na panią i na mnie — odparł.

— Ale kto mógł wymyślić tę niecną intrygę?

— Któżby jeśli nie kobieta, dla której największą rozkoszą byłoby zgubić panią.

— Pani Olifaunt zatem?

— Tak, pani Olifaunt — rzekł Thauziat a po chwili szepnął stłumionym głosem:

— Kto wie? może i kto więcej należał jeszcze do tej zmowy.

Niewysłowiona trwoga ścisnęła sercem Heleny.

— Kogo podejrzywasz pan jeszcze? — szepnęła zbielałemi usty. — Nie śmiesz pan wypowiedzieć nazwiska, zatem oskarżenie twoje musi być szkaradne. Proszę, powiedz kogo obwiniasz?

Thauziat pochylił czoło jakby się wstydził tego co ma powiedzieć i wreszcie szepnął cicho.

— Posądzam o to twego męża.

Helena osłupiała z przerażenia. Przypuszczenie to od kilku chwil kiełkowało już w jej umyśle; zaczęła wątpić w prawość tego z którym łączyły ją nierozerwalnie węzły miłości i wiary. Smutne doświadczenie mówiło jej, że człowiek co potrafił się wyprzéć najświętszych obowiązków i wszystko poświęcić dla jednej niegodnej kobiety, może posunąć się również i do podłości, aby tylko uwolnić się od żony, przez zaplątanie jej w ubliżającą intrygę.

Myśli te głębokim przejmowały ją wstrętem lecz w duszy jej odzywał się głos silnej woli, stając w obronie uciśnionego. Głos ten szeptał jej wyraźnie:

— Nie upadaj na duchu, bądź mężną i ufaj w dobre. Miej nadzieję a zwyciężysz wszystkie przeszkody. Ludwik nie będzie podłym ani niegodziwym, jeśli ty go nie opuścisz; przy tobie odzyska szlachetność i dobroć. Ale ty musisz chciéć tego potęgą twej silnej woli.

— Oskarżenie to nie ma najmniejszego sensu — rzekła, jakby odpowiadając własnym myślom.

— Niemniej przeto jest prawdopodobne — podchwycił z żywością de Thauziat. — Jeżeli mąż twój obałamucony przez panią Olifaunt postanowił podążyć za nią, chciał może w obec świata usprawiedliwić poniekąd swój występek rzucając na ciebie cień podejrzeń mogących ci szkodzić w oczach ludzi... Nie pojmujesz pani nawet co z człowiekiem słabego charakteru może uczynić kobieta tak przewrotna jak Dianna. Pozbawiła go już rozumu majątku a teraz wydrze mu honor; nie dość że cię Ludwik opuścił, jeszcze poświęci cię na ofiarę jej zemsty. Dianna ponieważ sama upadła tak nizko i ciebie również chciałaby poniżyć; coby to dla niej była za radość widzieć cię otoczoną wzgardą i szyderstwem ludzi i zwalaną błotem wśród którego całe jej życie upływa. I mąż twój stał się wspólnikiem tej kobiety, dopomaga jej do spełnienia niegodziwego zamiaru. Własną żonę, matkę swego syna naraża z zimną krwią na okrutne zniewagi kochanki!... O! wiesz dobrze że wszystko co ci mówię jest prawdą, czułaś już nieraz jak szpony tej nędznicy krwawiły ci serce. Nieraz bryzgnęła ci błotem w oczy!... Ja nie opieram moich słów na domysłach tylko na dowodach... Wierz mi pani, że podobna przeszłość może ci wróżyć tylko pełną zawodów i cierpień przyszłość!

Mówiąc to Klemens przysunął się do Heleny. Wyniosła jego postać wydawała się jeszcze wyższą a twarz jaśniała groźną jakąś pięknością.

Helena zmieszana i wzruszona spoglądała na niego z trwogą. Zdawało jej się, że stoi nad przepaścią i doznaje zawrotu głowy. Coś ją nęciło i odpychało zarazem od Klemensa. Nie mogła pojąć w jakim celu de Thauziat mówił jej to wszystko i dokąd zmierzał? Jakąż nadzieję mógł zakładać na nieszczęściu, które dotknęłoby Helenę? Był zanadto panem siebie, aby dla prostego zadowolenia niechęci miał oskarżać Ludwika; jakiż więc miał zamiar i jakie mógł żywić nadzieje?

Nie mogąc znieść niepewności, gdyż zdawało jej się, że słowa Klemensa stanowić będą o jej szczęściu lub nieszczęściu i chcąc co prędzej rozwikłać niepojętą zagadkę, spytała śmiało:

— Do czego pan zmierzasz?

— Chcę pani dowieść, że los nie napróżno postawił mnie na twej drodze — rzekł poważnie — i że jeżeli tyle wycierpiałem przez miłość dla cie-

bie to może dlatego, abyś lepiej oceniła moją słabość. Podłość twoich prześladowców, naznaczyła nam tu bezwiedną z naszej strony schadzkę, odgadujesz pani chyba niecny cel podobnej intrygi. Są to sidła zastawione na twój i mój honor; ale niech i tak będzie, ja przyjmuję wyzwanie losu! Pytają mnie o miłość, przyznaję się więc do niej głośno i otwarcie. Jeśli mąż twój po tylu zniewagach porzuci cię, staniesz się wolną zupełnie. Wymaż jego pamięć z serca tak jak on zapomniał o tobie. Cofnij się w tył, wyrzecz się nawet wspomnienia tych dwóch lat ubiegłych, które minęły jak sen jaki przykry i z ufnością złóż rękę w mojej dłoni. Żadna na świecie kobieta nie będzie tak kochana i uwielbiana jak ty pani. Przez całe życie będę się starał, abyś zapomniała o przebytych cierpieniach!

Młoda kobieta spojrzała na niego uważnie i spokojnie odrzekła:

— Jeśli dobrze zrozumiałam, to zachęcasz mnie pan abym na nowo rozpoczęła życie i rozwiódłszy się z mężem, została twoją żoną?

— Tak jest.

— Jeśli mnie mąż porzuci pomimo to nie będę wolną — odpowiedziała łagodnie. —Pozostanie mi przecież dziecię, które nie zawiedzie czułości jaką go otaczam. Miłość macierzyńska wystarczy do zapełnienia mi życia!...

— On będzie i moim synem również — przerwał jej z powagą i uczuciem de Thauziat. — Przysięgam ci, że kochać go będę tak jak gdyby własna moja krew krążyła w jego żyłach i możesz mi ufać, że pod moją opieką wyrośnie na szlachetnego człowieka.

— Jeżeli zbraknie mu ojca ja sama potrafię go wychować. Poświęcając się dla mego dziecięcia dam mu przykład męztwa i wierności a skoro syn podrastając zobaczy, że jestem dobrą matką i uczciwą kobietą, nie będzie potrzebował niczyjej pomocy, aby stać się szlachetnym człowiekiem.

— Nie przeczę, że spełnisz chwalebnie swój obowiązek, ale życie twoje będzie nieustającą ofiarą. Zupełnego szczęścia nie doznasz nigdy. Będziesz kochać, ale mąż nie odpłaci się tobie miłością; nigdy serce twoje nie uczuje cudownej harmonii zjednoczenia z drugiem sercem; nigdy nie zabije jednozgodnem upojeniem lub radością. Jesteś młodą i jeszcze długie lata upłyną nim minie dla ciebie wiek żywszych i namiętniejszych uczuć. Czy możesz z góry powiedzieć sobie, że zraniona twa dusza nigdy gorętszem nie uderzy tętnem, nigdy nie dozna żalu lub goryczy? Ah! gdybyś mi chciała zaufać, gdybyś pozwoliła mi czuwać nad twoją przyszłością, zmiatałbym proch z przed stóp twoich. Jedynym celem mego życia byłoby szczęście twoje, ja ciebie tylko kochałem na świecie, od dwóch lat żyję jedynie twojem wspomnieniem. Przeczuwam myśl każdą, odgaduję każde twoje cierpienie; największą dla mnie radością jest patrzyć na ciebie, słyszyć drogi twój głos choć nieraz przemawiałaś do mnie w obojętny lub okrutny sposób!... O! ileż razy przeklinałem przeznaczenie i zazdrościłem szczęśliwemu choć niezasłużonemu człowiekowi, który potrafił ci się podobać i nie oceniał skarbów twej dobroci i wdzięków! Zazdrościłem mu a teraz widząc z jaką mocą przywiązałaś się do niego, nienawidzę go! Tak, nienawidzę całą potęgą ducha, buntującego się przeciw takiej niesprawiedliwości!... Błagam cię, Heleno, nie trwaj w uporze i szalonem zaślepieniu! Jeśli nie masz litości nad sobą, miej ją nademną, wiesz że oddycham twojem tchnieniem, żeś ty jest światłem mych oczu i radością duszy... Z jakąż radością poświęciłbym wszystkie, abym tylko mógł otrzymać nie tak lodowate spojrzenie twoich pięknych oczu, usłyszeć z ust twoich litościwsze słówko!

Z wyciągniętemi ramionami zbliżał się do Heleny, zmieniona twarz jego dowodziła gwałtowności miotających nim uczuć. Pragnął jej miłości całą siłą stęsknionej duszy, oczy jego błyszczały jak gwiazdy, gorączka paliła usta i młoda kobieta czuła jakiś magnetyczny wpływ, który jak szlachetny płomień rozgrzewał jej serce. Widząc zapał i gwałtowność Klemensa, ulękła się po raz pierwszy w życiu. Szybko powstała z krzesła lecz on schwycił kraj jej szaty i padając na kolana przycisnął do niego rozpalone czoło. Zdawało mu się, że dotyka miękkiej, aksamitnej dłoni kobiety.

— Błagam cię, nie doprowadzaj mnie do rozpaczy! — zawołał. — Dość już uczyniłaś mi złego a ja za wszystko odpłacałem ci nieograniczoną miłością. Pomyśl, że ten dla którego poświęcasz mnie bez litości, zdradza cię oddawna a dziś porzuci zupełnie, że on jest u tej kobiety, może nawet w tej chwili tonie w jej objęciach...

— Milcz! — zawołała z najżywszą rozpaczą. — To co mówisz jest niegodziwością!...

— Niegodziwością należy nazywać zniewagę na jaką ten człowiek cię naraża... Wiedz, że Ludwik odjedzie z Dianną, bynajmniej nie zubożały, przeciwnie, własną i twoją ruiną zbogacił się znakomicie...

— Kłamiesz! — krzyknęła Helena i gwałtownym ruchem wyrwała suknię z rąk Klemensa. — Poczem zwróciła się ku drzwiom.

— Nie chcę słuchać cię dłużej — dodała jeszcze.

Thauziat zerwał się z klęczek i zabiegł jej drogę.

— Doprowadzasz mnie do ostateczności! — zawołał. — Ja chcę żebyś została!

— Czy śmiałbyś mnie zatrzymać wbrew mojej woli?

— Odważę się na wszystko.

Twarz Klemensa przybrała groźny i ponury wyraz. Helena cofnęła się krokiem i rzekła ze wzgardliwą ironią:

— Jeżeli nie pozwolisz mi się ztąd oddalić, mam prawo przypuszczać, że sidła w jakie wpadłam przez pana były zastawione.

— Możesz myśléć co ci się tylko podoba.

— Błagałeś mnie o miłość... chceszże zasłużyć na moją wzgardę?

— Miałaś mój honor w twojem ręku. Przez twój wpływ mogłem się stać złym lub dobrym. Ty sama popchnęłaś mnie do złego. Ponieważ koniecznie trzeba być występnym, aby mieć prawo do twojego serca, stanę się nim więc!

— Strzeż się! Skoro się do mnie przybliżysz wołać będę o pomoc!

— Krzyk potępi cię jeszcze bardziej... A zniesławiona należyć do mnie musisz! Zresztą nikt tu nie przyjdzie.

Mówiąc to szybko zakręcił drzwi na klucz. Helena pobiegła do okna, ale Klemens podążył za nią i chwycił ją w objęcia, namiętnym uściskiem tuląc ją do piersi. Helena czuła gwałtowne bicie jego serca, lecz opierając się rękami o jego ramiona walczyła z wściekłością, aby się uwolnić z nienawistnego uścisku. Nie śmiała krzyczeć, ale jęk jakiś podobny do głuchego jęku zranionej lwicy, wydobywał się z jej piersi. Tymczasem Klemens oszalały namiętnością, przyciągał ją ku sobie tak, że gorący jego oddech muskał ją po twarzy. Helena czuła, że siły ją opuszczają, gdy w tem stłumiony szmer głosów dał się słyszeć w sąsiednim pokoju, tłumiąc szelest cichej lecz okropnej walki, odgrywającej się w salonie.

— Ktoś nadchodzi! — szepnęła wreszcie Helena — jeszcze czas... puść mnie... a przysięgam ci, że zapomnę o twem uniesieniu...

Thauziat nic nie odpowiedział lecz unosząc Helenę chciał z nią uciekać jak z najdroższą zdobyczą. W tej chwili ciszę przerwało stukanie do drzwi przyśpieszone i niecierpliwe. Młoda kobieta nadludzkim wysiłkiem wyrwała się z powstrzymujących ją objęć i z okrzykiem tryumfu pobiegła do drzwi, które otworzyła jak szeroko. Ale głos zamarł jej na ustach, cofnęła się przerażona: przed nią stał mąż.

Dwaj mężczyzni groźnym zmierzyli się wzrokiem, Helena blada i drżąca stała między niemi niezdolna przemówić słowa. Zapomniała o wszystkiem co nie było jej honorem i chcąc pierwej oczyścić się z zarzutu winy, niż uspokoić gniew wzbierający w piersiach przeciwników, zawołała:

— Przedewszystkiem Ludwiku, powiedz czy mniemasz, żem zawiniła?

Ludwik przysunął się do niej a widząc ją jaśniejącą blaskiem oburzonej skromności, rzekł wyciągając dłoń do niej:

— Nie.

Helena wydała okrzyk zadowolenia a obejmując męża uściskiem, dziękowała mu jakby jej wrócił życie. Poczem zwracając się z groźnym wyrazem twarzy do Klemensa, który oczekiwał niewzruszony końca tej nieprzewidzianej sceny, dodała:

— Panie de Thauziat, postąpiłeś podle chcąc ubliżyć kobiecie, nie zasługujesz więc nawet na to, aby cię spoliczkowała dłoń mężczyzny.

I wyrywając Ludwikowi rękawiczkę, którą miał niecierpliwie w ręku, uderzyła nią w twarz tego, którego znieważyła.

Stłumiony krzyk oburzenia wyrwał się z piersi Klemensa, zdawało się, że chce się rzucić i zgnieść ich oboje, lecz nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymał się natychmiast. Twarz jego stała się sino bladą, z pozornym jednak chłodem pocbylił się przed Heleną.

— Ma pani zupełną słuszność — rzekł z gorzkim uśmiechem.

— Do jutra! — odpowiedział Ludwik.

— Do jutra! — powtórzył de Thauziat jak żałobne echo.

Helena drżąca uchwyciła dłoń męża i pociągnęła go za sobą nie obdarzywszy ani jednem spojrzeniem zrozpaczonego Klemensa.

XII.

Była godzina jedenasta przed południem, lecz dzień szary i mglisty nie usposabiał do wesołości. W małym saloniku na drugiem piętrze, o ile można najdalej od babci, Helena i Emilia oczekiwały z niepokojem wieści. Ludwika nie było w domu, pojechał na spotkanie z Klemensem. Pojedynek miał się odbyć w Bagatelli.

Mąż, któremu jako obrażonemu służyło prawo wyboru broni, wybrał pistolety. Miano strzelać nie na dany znak lecz dowolnie o dwadzieścia pięć kroków odległości. Świadkami doświadczonemi w tego rodzaju sprawach byli ludzie ze wszech miar godni szacunku. Ze strony de Thauziat obowiązek ten mieli spełnić baron Trésorier i margrabia de Beaulieu, ze strony Héraulta, pułkownik Gandon jego krewny i Piotr Delarue. Pomimo usilnej namowy sekundanci nie mogli przekonać

przeciwników, aby strzelali na komendę i musieli zgodzić się na podawane im warunki.

Nikt się nie domyślał rzeczywistego powodu kłótni. Ludwik powiedział swoim przyjaciołom, że Klemens ubliżył mu sromotnie; Klemens zaś oznajmił swoim sekundantom, aby w zupełności zastosowali się do życzeń Héraulta. De Thauziat strzelał przewybornie, to też świadkowie chcąc złagodzić warunki pojedynku, nie czynili tego ze względu na niego lecz na tego, który był narażony na celność jego strzałów. Gdyby strzelano na komendę, Ludwik mógłby jeszcze cieszyć się nadzieją ocalenia, ale jak dowolnie, świadkowie naprzód wróżyli mu śmierć niechybną. Emilia słyszała to wczoraj od ojca i przerażona przybiegła do Heleny.

Młoda kobieta w krótkich słowach opowiedziała jej powód wyzwania i spokojem swoim dowiodła niepospolitej siły charakteru. Gdyby nawet jej mąż miał przystąpić do walki okryty nieprzeniknioną zbroją, nie byłaby chyba pewniejszą zobaczenia go zdrowym i całym.

Wieczór poprzedzający spotkanie, spędziła z Emilią w swoim pokoju i wlewała otuchę w strwożone serce przyjaciółki słowami niezachwianej wiary w powodzenie sprawy męża.

— Bóg jest sprawiedliwy — mówiła — i nie zechce mnie pognębić. Od dwóch lat rano i wieczór błagam Go, aby mi wrócił tego, którego kocham. Za Jego łaską nie poddawałam się dotąd rozpaczy, miałżeby więc wydrzeć mi go teraz, skoro nieszczęście sprowadziło go do nóg moich skruszonego i żałującego za swe przewinienia. Nie, Bóg nie opuszcza nigdy tych co ufność w Nim pokładają. Przyjął ofiarę moich cierpień i widział z jakiem znosiłam je poddaniem. W zamian za wszystko co wycierpiałam, wierzę że ocali życie mego męża.

Mówiła spokojnie bez gorączki ani uniesienia z głębokiem przekonaniem, które mogło budzić obawy o jej rozum w razie fatalnego rozwiązania sprawy. O północy młoda kobieta wyprawiła przyjaciółkę do domu, prosząc ją, aby przyjechała rano. Ludwik miał odjechać o dziewiątej. Pozostawszy samą przeszła do pokoju oddzielającego pokój dziecięcia od komnaty mężowskiej i pozostawiła drzwi otwarte, jakby chciała aby czar niewinności dziecięcej wpłynął kojąco na ojca.

Noc całą nie zmrużyła oka modląc się tylko z wiarą i ufnością. Skoro usłyszała w sypialni szelest kroków Ludwika, weszła do jego pokoju i rozmawiała z nim spokojnie, wlewając tym sposobem męztwo i odwagę w zbolałą duszę nieszczęśliwego człowieka. Ludwik spoglądał na nią z niemem uwielbieniem. Na ustach miał słowo, które wydzierało mu się prosto z serca, chciał zawołać: „Przebaczenia!" lecz nie śmiał, gdyż czuł, że zanadto zawinił.

Ona z bohaterskim spokojem ukrywała trwogę i potrafiła nawet zdobyć się na uśmiech. Czuła, że gdyby tylko na chwilę poddała się rozdrażnieniu, wzruszenie jej niekorzystnie wpłynęłoby na męża i mogłoby się stać przyczyną jego śmierci a chciała, aby Ludwik był spokojny, pewny i panem samego siebie. I teraz jak zawsze stała się dlań przykładem. Kiedy przybyli świadkowie Ludwika, Helena wyjęła z łóżeczka małego Piotrusia, który się właśnie obudził i zaniosła go na dzień dobry do ojca. Podała mu dziecinę na rękę, a obejmując ich pełnym miłości wzrokiem, jak gdyby chciała połączyć ich nierozerwalnemi węzły wynikającemi za wpływem jej silnej woli, rzekła:

— Uściskaj tatusia i powiedz mu, do widzenia.

Łagodny, dźwięczny głos dziecięcia powtórzył, do widzenia, a pulchne jego rączki otoczyły szyję ojca. Ludwik zadrżał i oczy jego napełniły się łzami. Helena odebrała z rąk jego dziecię i ściskając go z konwulsyjną siłą, rzekła mu:

— Idź teraz!

Mężnie bez westchnienia nawet, patrzyła za oddalającym się. Wyjrzała jeszcze za nim oknem i ścigała go wzrokiem dopóki nie wsiadł do powozu, lecz skoro turkot kół ucichł w zupełności, wróciła do swego pokoju i nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą, gwałtownem wybuchnęła łkaniem. Za chwilę przybyła Emilia i mieszała łzy swoje ze łzami przyjaciółki. W milczeniu siedziały przeszło godzinę, patrząc z trwogą na wskazówki wolno posuwającego się zegara, który oznaczał może w tej chwili ostatnie tchnienie jednego z walczących. Serce Emilii, podzielone między Klemensa i Ludwika, niewypowiedziane przechodziło męki, nie chciała nic przewidywać, nic pragnąć, aby wybór jej choć w myśli tylko uczyniony nie wpłynął ujemnie na fatalność przeznaczenia. W istocie położenie jej było nader bolesne: z jednej strony przyjaciel młodości, z drugiej ukochany i wybrany z pomiędzy wszystkich człowiek.

O dziesiątej Helena westchnęła boleśnie szepcąc: „Już stoją naprzeciw siebie!" i bezsilna osunęła się na kolana. Emilia siedziała nieruchoma, szarpana niewymowną trwogą, łowiąc uchem najlżejszy szelest i przyciskając dłonią gwałtownie bijące serce. Następna godzina była prawdziwą męczarnią dla oczekujących kobiet. Wyrok musiał już zapaść a one nie wiedziały o niczem. O wpół do jedenastej niepokój Heleny wzmógł się do tego stopnia, że nie mogąc wysiedzieć na miejscu, zbiegła na dół i otworzywszy okno zaczęła wyglądać na ulicę. Niecierpliwość jej była tak wielką, że chciałaby podążyć na plac walki, aby prędzej dowiedzieć się czegoś, lecz powstrzymywała ją niewytłomaczona trwoga, pod wpływem której pragnęła znów nic nie słyszeć i nic nie widzieć.

O jedenastej Emilia, która dotychczas milczała jak głaz, zawołała z najżywszą rozpaczą:

— Wielki Boże! co się tam dzieje? Okropna rzecz, że tak przedłużają naszą nieświadomość skoro wszystko musiało się już skończyć!...

Biedna dziewczyna była prawie blizką omdlenia lecz Helena nie podniosła nawet oczu na przyjaciółkę. Jakaś magnetyczna siła przykuwała jej wzrok do drzwi wchodowych, jakby na nich miała przeczytać wyrok życia lub śmierci. Nareszcie wydała okrzyk, który do głębi duszy wstrząsnął Emilią, tyle w nim brzmiało zarazem radości i okrucieństwa:

— To on! to on! Żyje! Bóg się zmiłował nademną.

Nie miała siły postąpić kroku, nie mogła dodać ani jednego słowa więcej, gwałtowne wzruszenie pozbawiło ją siły, aby nie upaść chwyciła się firanek i patrzała na męża, gdy podtrzymywany przez swych sekundantów i barona Trésorier, blady i drżący wolnym krokiem zbliżał się do niej.

Złowroga nadzieja błysnęła w sercu Emilii, jeśli Hérault jest ranny, de Thauziat musiał ocaléć. Mężczyzni zbliżali się zwolna, twarz Ludwika była blada i zmieniona, sina obwódka podkrążała jego oczy a usta posiniałe zacięły się silnie z bólu. Prawą rękę miał na temblaku a zarzucony na ramiona paltot zakrywał krwawy nieład jego ubrania. Pułkownik Gandon i Piotr Delarue nieśli go prawie pomimo to z wysiłkiem wszedł na ganek lecz znalazłszy się w pokoju o mało nie zemdlał i Helena przyjęła go w objęcia.

— Mój Boże! co za nieostrożność! — rzekła — dlaczego szedłeś? Należało kazać przyjść powozowi.

— Mąż pani nie chciał jechać — rzekł Delarue — lękał się, aby pani nie przestraszyć i dlatego wolał iść.

Ludwik chciał mówić lecz Helena dłonią zamknęła mu usta. Baron Trésorier zaś dodał ścicha:

— Niech wejdzie coprędzej do swego pokoju... Rana jest dość niebezpieczna... Kula zdruzgotała mu ramię... Za kilka chwil przybędzie tu Rameau de Ferrière, aby świeży zrobić opatrunek...

Wtedy Helena odsunęła się od męża i zbliżając się do młodego człowieka, spytała drżącym głosem:

— A przeciwnik jego?

Trésorier pochylił głowę i zwolna wyrzekł tylko jedno słowo:

— Zabity.

Odpowiedział mu bolesny jęk, który się wydarł ze ściśniętej piersi Emilii i młoda dziewczyna blada jak widmo stanęła przed posłannikiem żałobnej wieści. Baron zbliżył się do niej z ukłonem.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Z Krakowa donoszą o dwóch legatach na cele pożytku publicznego wielkiego znaczenia.

Pierwszy stanowi fundacya imienia Feliksy Maryi z Golejewskich Czarkowskiej, dla rękodzielników i przemysłowców pochodzenia polskiego, w kraju swój zawód rękodzielniczy lub przemysłowy podejmujących. Na cele tego zapisu złożyła ofiarodawczyni w wydziale krajowym: dawniej 100 tysięcy złr. w papierach wartościowych, świeżo zaś dopełniła tę kwotę nową ofiarą 200 tysięcy złr. Zakładowy tedy majątek fundacyi stanowi razem 300 tysięcy złr., od którego procent ma być użyty na stypendya dla kandydatów do zawodów przemysłowych, zdaniem jej najbardziej w Galicyi zaniedbanych, mianowicie: stolarstwa, tokarstwa, snycerstwa, kowalstwa, ślusarstwa, mosiężnictwa, bronzownictwa, złotnictwa, tkactwa, farbiarstwa, garncarstwa, kamieniarstwa, malarstwa pokojowego, introligatorstwa, tapicerstwa, kołodziejstwa i zegarmistrzostwa.

Pomiędzy kandydatami równej kwalifikacyi fachowej, otrzymuje pierwszeństwo ten, kto udowodni: albo wyższy stopień wykształcenia ogólnego, albo znajomość obcych języków, albo nareszcie wybitny talent lub zdolność do samodzielnej pomysłowości w zakresie obranego zawodu.

Druga fundacya barona Hirsza, utworzona świeżo na pamiątkę 40 rocznicy panowania cesarza Franciszka Józefa, wynosi 12 milionów franków; jest przeznaczona dla Galicyi i Bukowiny i ma urzędową nazwę: „Fundacyi bar. Hirsza, celem

rozszerzenia nauki ludowej i popierania rzemiosł i rolnictwa" w powyższych dwóch krajach.

Fundacya ta ma na celu: zakładanie szkół ludowych i ogródków freblowskich, wspieranie nauczycieli, którzy się zobowiążą uczyć w szkołach fundacyi przez dłuższą ilość lat; zakupywanie książek i przyborów szkolnych celem bezpłatnego rozdawania ich ubogim uczniom; umieszczanie żydowskiej młodzieży u dobrych rękodzielników i gospodarzy, aby się praktycznie uczyła rzemiosł i rolnictwa; kształcenie zdolniejszych na nauczycieli ludowych, rzemieślników i samodzielnych robotników; udzielanie stypendyów i opieki moralnej tym dzieciom starozakonnym, które uczęszczają do szkół fachowych, przemysłowych i rękodzielniczych; udzielanie zapomóg i bezprocentowych pożyczek starozakonnym rękodzielnikom, a zwłaszcza rolnikom; zakładanie fachowych szkół przemysłowych, rękodzielniczych i rolniczych, niższych i wyższych.

Zapis nie wyłącza przyjmowania do szkół i zakładów fundacyjnych ubogiej młodzieży wszelkich wyznań chrześciańskich, ani też nie usuwa jej od korzystania ze wszystkich wymienionych wyżej dobrodziejstw fundacyi, owszem zastrzega, że: „uczniom wyznań chrześciańskich ma być udzielana nauka ich religii kosztem fundacyi, a gdyby ich w danym zakładzie było zamało, należy się starać, aby naukę tę pobierali gdzieindziej po za szkołą".

Niedawno w Petersburgu szczupłe grono literatów i artystów, święciło pamięć zmarłego przed ćwierćią wieku powieściopisarza M. Pomiałowskiego. Był to olbrzymi, przedwcześnie zgasły talent, Hogarth piśmiennictwa russkiego. Powieści jego, niewykończone i niedokończone, czytałem dawno, będąc bardzo młodym. Tytułów ich nie pamiętam, lecz pozostało wrażenie przygnębienia tak potężne, iż nic go dotąd nie zatarło, nawet *Zapiski iz mertwaho doma* Dostojewskiego. Dziś jeszcze, kiedy wspomnę opowiadania szkolne Pomiałowskiego, zdaje się, iż widzę u stóp swoich przepaść otwartą. *Abyssus abyssum vocat.* Stwierdził tę zasadę Pomiałowskij. Do walki ze złem miał tylko pióro, więc upadł na duchu, żeby zaś boleść zdławić w piersiach, oddał się pijaństwu i tak zmarniał. Jedyna potucha, że nie pierwszy i nie ostatni.

Zebranie otworzył pan Ostrogorskij charakterystyką Pomiałowskiego. Były i inne mowy. Wspomniano też wiernego druha Pomiałowskiego, redaktora *Mołwy*, Poletikę, niedawno zmarłego. Był to równie szlachetny charakter; jedyną jego wadę stanowiła gorącość temperamentu, jak się to naprzykład pokazało na konferencyi gen. Loris Melikowa z redaktorami dzienników.

Obchód zakończyła gra na fortepianie p. Dłuskiego i opowiadanie p. Gorbunowa.

Ze Lwowa donoszą: dobroczynności publicznej przybywa żywioł nowy. Panie nasze zawiązują „Towarzystwo św. Salomei", aby wspierać i opiekować się biednemi wdowami, szczególniej obarczonemi dziećmi. Mamy już wprawdzie instytucyę tego rodzaju pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo, lecz liczba członków jej i środki działania bardzo ograniczone. Wsparciom zaś urzędowym brak moralnej kontroli. Dlatego też właśnie Tow. św. Salomei ma przyjść w pomoc radom gminnym i opiekować się przedewszystkiem osobami, przez nie wskazanemi; w każdej dzielnicy miasta powstanie sekcya. Statut będzie wymagał osobistego odwiedzania chorych. Przewodniczą towarzystwu: hr. Henrykowa Skarbkowa i prezydentowa Mochnacka. Na dochód nowej instytucyi zapowiedziano prelekcyę ks. d-ra Jana Siemieńskiego (inicyatora Towarzystwa) o nędzy we Lwowie i racyonalnem miłosierdziu, tudzież potrzebie solidarnej działalności żywiołów dobroczynnych.

W kwestyi wyższego wykształcenia kobiet jak donosi „Graždanin", wniesiony został projekt do rady państwa. Dozwolonem ma być otwarcie w niektórych okręgach naukowych, wyższych zakładów naukowych dla kobiet, lecz wyłącznie o charakterze pedagogicznym. Osobom, które ukończą rzeczone zakłady, przysługiwać będzie prawo obejmowania posad nauczycielskich w wyższych klasach gimnazyów żeńskich, prawo, którego pozbawione były wychowanice świeżo zamkniętych kursów kobiecych.

Kobiety. Nie ma już obecnie z Stanach Zjednoczonych wyborów, w którychby kandydatury swej nie stawiały także i... kobiety. Obecnie wystąpiły one przy wyborach na prezydenta republiki z kandydaturą dojrzałej już kobiety, miss Belwy Lockwood; miss Lindę Gilbert ogłosiły kandydatką na posadę gubernatora, a miss Cyntię Leonard na posadę burmistrza miasta Nowego-Yorku. Najzabawniejsze w tem wszystkiem jest, że w stanie Nowy York znajdują się nawet mężczyzni, którym koniecznie zachciewa się dostać pod rządy kobiece.

Sprawozdanie z podróży do królowej Wiktoryi. Dzieci księcia Connaught, które przed kilku dniami przybyły do Bombay do rodziców swoich, przesłały babce, królowej Wiktoryi, następujące wspólnie ułożone sprawozdanie z podróży, niemałą wesołość wzbudzające na dworze angielskim:

„Kochana babciu! Donosimy Ci, że byliśmy zdrowi, jakkolwiek właściwie przez cały czas było nam niedobrze. Nie rozumiemy wcale jak mogłaś nam pozwolić na tę podróż; wszak niechętnie pozwalasz nam używać huśtawki w parku w Windsorze, a teraz powierzyłaś nas tak olbrzymiej huśtawce, okrętowi, która nami rzucała, jak piłkami. Nie uczyliśmy się nic podczas podróży, babciu, tego nie mogłaś nawet od nas wymagać, ale widzieliśmy dużo, a to nam się przyda później do historyi naturalnej. Całujemy Cię, babciu i życzymy, aby Ci budyń na gwiazdkę smakował.

Pomysł praktyczny, ale cokolwiek drażliwy ułożyła jedna z byłych uczenic tutejszego konserwatoryum, krząta się około utworzenia orkiestry... damskiej.

„Kapela warszawska... płci żeńskiej" różnić się będzie od występujących w niektórych miejscach zabaw, poważniejszem traktowaniem zadania tudzież możliwie zupełną obsadą pulpitów.

Inicyatorka, której nazwisko chwilowo pozostawić musimy w tajemnicy, zawiera umowę z nauczycielami, którzy wezmą pod swoją opiekę przyszłe członkinie orkiestry.

W szkole kadeckiej wiedeńskiej znajduje się ośmiu bośniaków-muzułmanów. Nad ich wykształceniem religijnem czuwa Mehemed Effendi Bekiragie; pod jego też dozorem są przyrządzane potrawy dla owych kadetów, którzy jadają przy osobnym stole. Tymczasem przed kilku dniami ów ksiądz muzułmański wykrył nadużycie i to grube. Oto jego wychowańcy pocichu oddawali swe potrawy towarzyszom w zamian za... kiełbasę. Początkowo więc Bekiragie chciał zaskarżyć ich do komendanta, lecz w końcu dał się ułagodzić.

W Paryżu niedawno, w jednej z bardzo eleganckich dzielnic zamieszkał hr. ⁂. O nazwisko mniejsza, przyjęcia atoli u niego były tak eleganckie, wina tak dobre, iż wkrótce zjeżdżać się zaczęło do niego wyborowe, a pieniężne towarzystwo. Naturalnie, iż dla zabicia czasu także grano, zrazu o drobnostki, wreszcie znacznie grubsze stawki zaczynały się ukazywać na stole. Otóż pewnego razu, gdy przed zapalonymi zwolennikami baczka leżało więcej niż 50,000 franków, do sali wszedł komisarz policyi w trójkolorowej szarfie, a za nim dwaj ajenci, którzy dopełnili spisania nazwisk obecnych, karty zaś i pieniądze zabrali. Gospodarz bardzo ubolewał nad wypadkiem i oświadczył, iż nazajutrz w południe wszystkim ich gotówkę zwróci, gdy jednakże łatwowierni przyszli do mieszkania, nie było już nikogo. Tak hrabia, jak komisarz i ajenci byli poprostu oszustami, którzy w ten sposób zdobyli kilkadziesiąt tysięcy franków.

Sześciorgiem dzieci naraz obdarzyła pani Hirsch, mieszkanka Navorro County, w Texas, małżonka swego, farmera, jak donoszą do „Frankf. Ztng." Wspomniana miejscowość przepełniona jest obecnie mężami nauki, reporterami, ciekawymi, a szczęśliwy ojciec pokazuje tylko wszystkim owe cudowne dzieci. Oboje państwo Hirsch są pochodzenia niemieckiego. Pani ma lat 27 i jest niezwykle silnej konstrukcyi. Po urodzeniu pomieszano zaraz dzieci tak, że teraz trudno już skonstatować, które z nich urodziło się najpierw; chcąc zaś uniknąć zamiany ich przy pokazywaniu obcym, przywiązano każdemu z tych miniaturowych obywateli etykietę z imieniem. Wszystkie te dzieci są istnymi „paluszkami", bardzo maleńkie, chociaż zupełnie normalnie zbudowane i zdrowe. Jednej dziewczynce tylko brak dolnej części ucha, a jeden chłopiec ma prawą nóżkę nieco wykrzywioną. Matka tych sześciu pociech jest kompletnie zdrowa.

Londyńscy dżentlemeni oddawna przemyśliwali nad tem, jakaby w ubraniu zaprowadzić modyfikacyę, odróżniającą ich na zebraniach od wyfrakowanej służby.

Czerwonych fraków nie lubią, bo to kostyum myśliwski; pończochy i krótkie spodnie również nie zyskały uznania, jakoteż i krótkie kurtki w sali balowej. Obecnie więc pomysłowy lord jakiś postanowił, iż spodnie mają pozostać czarne, a wzdłuż szwu haftowane być mają we wzorzyste desenie czarnym jedwabiem. Haft ma być wykonany na pasku materyi, a ten dopiero przyszyty do spodni. Cena tych haftów jest bardzo wysoka, co dżentlemanom zapewnia monopol w tym kierunku.

Pewien krawiec w małem miasteczku, pragnąc jak najzręczniej zwrócić na swój szyld uwagę publiczności, kazał wymalować ogromne nożyce a pod niemi taki napis: tu mieszka krawiec męzki, żeński i nijaki.

* * *

— Jak się panu podobała dzisiejsza śpiewaczka debiutantka?

— Bardzo, bardzo, szczególniej gdy się jedno ucho zatka a drugiem mało słyszy.

* * *

Bankier w opałach. W tegorocznym sezonie uwagę wszystkich kuracyuszów w Karlsbadzie zwracał bankier L. z Berlina, który i głośnem zachowaniem się i wyprostowaną postawą, dumnem

spoglądaniem na wszystkich i ekscentrycznem ubraniem starał się wyróżnić z pośród grona śmiertelników, którym nie jest danem posiadać domu bankierskiego nad Spreą lub nad inną jaką rzeczułką, przecinającą miasto stołeczne. Z hukiem i stukiem usiadł też ów bankier u znanego tym, co Karlsbad odwiedzali, Puppa i gniewał się zapewne w duchu niemało, że jakiś skromny jegomość, siedzący przy tym samym stoliku, śmiał nie zważać na jego bankierowską mość. Srodze jednak zemściły się losy na owym jegomości za to, że nie spojrzał na bankiera w jasnych kraciastych inexprimablach, przez nieuwagę bowiem wylał na nie kawę.

— Panie, zapłać mi za moje spodnie—zawołał bankier, zrywając się z krzesła i nie pozwalając sąsiadowi choćby słowa usprawiedliwienia.

Jegomość ów, wielce zakłopotany, nie odrzekł ani słowa ale podał obrażonemu swą kartę wizytową, na której można było wyczytać wyrazy: „S. radca dworu z Wiednia."

— Ja pańskiej karty wizytowej nie potrzbuję, zapłać mi pan gotówką 30 marek.

— Ależ ja nie posiadam marek — tłomaczył radzca dworu.

— To daj pan dwadzieścia guldenów.

Radzca milcząc dobył z kieszeni pugilares i kładąc na stole dwa banknoty, rzekł spokojnie:

— Służę, a teraz proszę o moją własność.

— Możesz pan odebrać ją sobie jeszcze dziś wieczorem — odparł bankier, podając mu swą kartę.

— Ja pańskiej karty wizytowej nie potrzebuję, proszę mi oddać moją własność i to natychmiast. Panowie jesteście świadkami — mówił radzca do grona ciekawych, którzy zwabieni hałasem bankiera zgromadzili się około ich stołu — że kupiłem od tego pana spodnie i że zapłaciłem za nich gotówką. Proszę zatem o spodnie.

Teraz znów bankier zakłopotał się wielce i tłomaczył, że żartował, żądając zapłaty, a w końcu był bardzo zadowolony, kiedy radzca oświadczył mu, iż godzi się na rozwiązanie dopiero co zawartej umowy i pieniądze z powrotem przyjmie, choć dużo na tem traci bo inexprimable warte są dla niego więcej niż sto guldenów.

* * *

Na wieczorze hypnotycznym prelegent ukończywszy kwiecistą mowę w tym przedmiocie, o którym miał tyle pojęcia co ślepy o kolorach, zbliżywszy się do uśpionego medyum, powiada:

— Siła ta potężna, dotąd jeszcze w naturze swej nieznana, nietylko hypnotyzowanego ubezwładnia umysłowo, ale robi tak dalece zależnym, że ten przyjmuje wszystko za prawdę co mu się powie. Na przykład, proszę posłuchać.

Tu hypnotyzer zwraca się do medyum i powiada rozkazującym głosem:

— Wszak prawda, że jesteś żabą?

— Nie jestem *ziabą* — odpowiada niby uśpiony — tylko tym co to mam jeść kartofel za pomarańczę.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Główne kierunki najnowszej ekonomii politycznej na podstawie historycznej i krytycznej przedstawione. Przełożyli z ostatniego wydania niemieckiego Feliks Jezierański i Józef Piasecki. Nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki.

Z wrażeń karnawałowych obrazki i ramki, Kazimierza Kleczkowskiego. Nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki.

Strzecha rodzinna, kalendarz na rok 1889 zebrał i bardzo starannie wydał Edward Koliński. Cena 15 kopiejek.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami, prospekt „Kłosów" oraz Katalog książek A. H. Kleinsingera.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stałej Prenumeratorce. Pięknych pasmanteryi dostać można u Stifsona na Wierzbowej. Hafty do sukien wykonywują się z kilku cieni, według gustu. Wszelkich deseni oraz monogramy do znaczenia bielizny kupić można w składzie zabawek i materyałów piśmiennych Müllera na Senatorskiej (wprost Reformatów).

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Дозволено Цензурою, Варшава, 7 Декабря 1888 г. **Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.